

# Plagiaty

Bodaj jedynym problemem środowiska naukowego, któremu dużo uwagi poświęca prasa, są plagiaty. Dziennikarze z lubością opisują, ile profesor X przepisał od doktora Y i jakie głupestwa wygadywał przyłapany na tym procederze. Wdzięcznym tematem są też kopiowane z Internetu prace magisterskie czy spółdzielnie pisania tych prac. Artykuły prasowe są zwykle okraszane wypowiedziami zambarasowanych przedstawicieli uczelni, którzy tłumaczą, jakie środki podjęto, aby zwalczać plagę plagiatów. Instytucje naukowe prześcigają się więc w uchwalaniu kodeksów etycznych, w których śmiało i bezkompromisowo zakazują swoim pracownikom zrzywania od kolegów; wprowadzają elektroniczne metody konfrontowania zawartości prac z zasobami Internetu; nakazują autorom oświadczać solennie i pisemnie, że swoje dzieła napisali samodzielnie.

Z zażenowaniem czytam doniesienia o kolejnych plagiatach, irytują mnie jednocześnie wspomniane środki mające przeciwdziałać temu zjawisku. Uważam bowiem, że nie dotyczą one powodów, dla których prace magisterskie często pisane są metodą „skopiuj i wklej”, a autorzy publikacji naukowych bezwstydnie wykorzystują cudzą twórczość.

Plagiaty prac magisterskich mają banalną przyczynę: biorą się z niewypełnienia roli, jaką powinien spełniać promotor. Nie wyobrażam sobie, aby magistrant, z którym omawiam podczas wielokrotnych spotkań każdy fragment jego pracy, przyniósł mi na koniec utwór skopiowany z Internetu. Jako obelgę więc przyjąłem dołączony do pracy mojej magistrantki dokument, w którym ta, „świadoma odpowiedzialności karnej, oświadcza, że przedkładana praca magisterska została napisana przez nią samodzielnie”. Skoro student składa takie oświadczenie, to niby jaka jest moja rola w magisterskim przedsięwzięciu?

Od lat prowadzę prace magisterskie, lecz zwykle mam tylko jednego magistranta w danym roku. Na chodliwych kierunkach, jak zarządzanie i marketing czy prawo, jest natomiast rzeczą powszechną, że profesor jest jednocześnie promotorem 30 (słownie trzydziestu), a nieraz i większej liczby prac magisterskich. Magistranta spotyka wtedy dwa razy: gdy daje mu temat i gdy otrzymuje pracę. Tutaj jest sedno problemu i bez zmiany tego stanu rzeczy środki przeciwdziałania plagiatom służą głównie tworzeniu alibi dla władz uczelnianych. Nie jest bowiem w ludzkiej ani profesorskiej mocy prowadzenie 30 prac magisterskich; promotorstwo jest wtedy fikcją (utrzymywaną na bodaj wszystkich polskich uczelniach). Liczbę magistrantów przypadających na jednego profesora można nieco zmniejszyć cedując prawo prowadzenia prac na doktorów, jednak prawdziwe rozwiązanie problemu musi zakładać dostosowanie liczby studentów do liczebności kadry akademickiej. Niestety entuzjaści boomu edukacyjnego nie chcą dostrzec tego prostego faktu.

Plagiaty prac magisterskich biorą się z braku opieki nad magistrantami, plagiaty prac naukowych są zaś ubocznym skutkiem markowanej działalności badawczej. Wydaje się, że w Polsce mamy niezwykłą wprost mnogość periodyków naukowych, najróżniejszych zeszytów, biuletynów, kwartalników. Są też wydawnictwa nieperiodyczne. Wystarczy, że 20 osób zbierze się w Karpaczu czy Kazimierzu, aby wkrótce ukazały się obszerne Materiały Międzynarodowej Konferencji Takiej czy Owakiej („międzynarodowej” bo miał przyjechać jeden profesor z Niemiec, choć w końcu nie dojechał). Większość tych wydawnictw jest poza cyrkulacją naukową i służy głównie autorom jako drabina do pokonywania kolejnych szczebli akademickiej kariery. Tutaj się publikuje,

a spisy takich publikacji są podstawą wszczęcia tego czy innego przewodu lub rozliczenia grantu. W Polsce można zostać profesorem tytularnym nie legitymując się żadnymi publikacjami o faktycznie międzynarodowym, czy choćby ogólnopolskim zasięgu. Wystarczą publikacje w biuletynie jakiegoś towarzystwa czy zeszytach naukowych uczelni, gdzie redaktorem jest kolega z pokoju obok, a recenzentem koleżanka z pokoju na przeciwko. Egzemplarz wydrukowanego wydawnictwa trafia do Biblioteki Narodowej, a większość nakładu łąduje w przepastnej szafie redaktora. Właśnie wśród publikacji ukazujących się w takich „autorskich” czasopismach najczęściej zdarzają się plagiaty. Brak szerszej cyrkulacji tych wydawnictw ułatwia bowiem ten proceder.

Gdy przed laty mój przyjaciel postanowił przekształcić istniejący w Kielcach instytut w prawdziwy ośrodek fizyki, jedną z pierwszych decyzji zlikwidował wydawane przez lata *Kieleckie Zeszyty Fizyczne*. Wyjaśnił, że nie ma fizyki kieleckiej, że w istocie nie ma fizyki polskiej, że jest tylko jedna, światowa i na takim forum należy prezentować naukowe dokonania. Likwidatorskie zapędy należy miarkować w odniesieniu do humanistyki, gdzie zapotrzebowanie na słowo drukowane jest wysokie, nie ma natomiast uzasadnienia bujne plenienie się „autorskich” wydawnictw w dziedzinach np. nauk technicznych czy medycznych. Bodaj każda uczelnia politechniczna czy medyczna ma swoje zeszyty naukowe, wydawane nieraz po angielsku, wypełnione po brzegi twórczością swoich pracowników. Towarzyszy zaś temu bogactwu nader wątpliwa obecność publikacji pochodzących z polskich instytucji w czasopismach o światowym zasięgu. Czyżby maszyny w Polsce działały wedle swoich praw, a Polacy zapadali na choroby inne niż reszta świata?

Działalność, której finałem są publikacje w „autorskich” wydawnictwach, ma niewiele wspólnego z rzeczywistą pracą naukową, jest raczej jej udawaniem. Dokonania własne trzeba konfrontować z zastanym stanem wiedzy, a o wartości publikacji decyduje nowatorstwo wyników czy podejścia. Prace wtórne, napisane przez autora samodzielnie czy przepisane, są równie bezużyteczne. Jeśli rezultatów prowadzonych badań nie udaje się opublikować w jednym z licznych czasopism o prawdziwie szerokim zasięgu, to bez straty dla nauki można takiego dzieła nie publikować wcale.

Pomimo krytycznych opinii, nie jest moim zamiarem inicjowanie krucjaty przeciw słabym wydawnictwom naukowym; mogą one spełniać i pozytywne role. Uważam natomiast, że należałoby wprowadzić ścisły wymóg, aby najważniejsze wyniki rozpraw doktorskich i habilitacyjnych były pierwiej publikowane w periodykach faktycznie obecnych w życiu naukowym. Wymuszałyby to podniesienie poziomu tych rozpraw, a przy okazji ograniczyłyby zjawisko plagiatów, które w takich pismach są rzadkie, bo łatwe do wykrycia. Pismo nie musi być wydawane za granicą – ważne są natomiast standardy anonimowego recenzowania, rzetelnego redagowania, szerokiej dystrybucji.

Kończąc pozwolę sobie powtórzyć swój zdecydowany pogląd, że z plagiatami walczyć nie warto, trzeba natomiast dążyć do usunięcia z życia naukowego wynaturzeń, których plagiaty są przejawem.

STANISŁAW MRÓWCZYŃSKI

Instytut Fizyki Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach  
& Instytut Problemów Jądrowych w Warszawie